



OPOWIEDZ MI SWOJĄ HISTORIĘ

Wspomnienia, opowieści i baśnie
seniorów z Ursynowa

zebrane w ramach projektu „Warsztaty
dla seniorów. Opowiedz mi swoją historię”



Fundacja Verbasum



projekt finansuje
miasto stołeczne
Warszawa

Autorzy opowieści: Sabina Kasoń, Agata Runowicz, Ryszard Olejniczak

Redakcja: Sylwia Dec

Korekta: Małgorzata Lach

Skład i przygotowanie do druku: Sylwia Dec

Projekt „Warsztaty dla seniorów. Opowiedz mi swoją historię”
sfinansowało m.st. Warszawa.

Fundacja Verbascum podejmuje działania interdyscyplinarne na pograniczu integracji, kultury i ekologii poprzez aktywności twórcze, edukacyjne i badawcze. Do głównych obszarów działań Fundacji należy rozwijanie sztuki opowiadania opowieści (storytelling) i jej wykorzystywanie w celach wspólnototwórczych. W centrum zainteresowania Fundacji jest relacja człowieka z innymi osobami i z naturą, a działania edukacyjne, twórcze (storytelling) i badawcze służą budowaniu lokalnych wspólnot i tworzeniu pozytywnych postaw i zachowań wobec świata przyrody.

Słowem wstępu

Opublikowane w tej broszurce opowieści pojawiły się w różny sposób w trakcie warsztatów „Opowiedz mi swoją historię”. Warsztaty miały być okazją do dzielenia się przez uczestników i uczestniczki historiami ze swojego życia w nieoceniającej, przyjaznej przestrzeni. Przez sześć spotkań przy kawie, herbacie i ciastkach słuchałyśmy wspomnień z dzieciństwa, rodowych historii, opowieści o magicznych przedmiotach – rodzinnych pamiątkach, osobistych talizmanach czy niezwykłych przedmiotach, o których mało kto dzisiaj pamięta. Część z tych historii została przez uczestników i uczestniczki spisana, część powstawała w trudzie przez cały czas trwania warsztatów, a część czekała w szufladzie na to, by je przekazać i umieścić w tej broszurce. Niektóre historie, które zostały opowiedziane i zagościły w naszych sercach w trakcie cotygodniowych spotkań, nie zostały spisane i nie znalazły się w tym zbiorze. I taka też jest natura opowieści – niektóre z nich pozostają zgodnie z intencją ich twórców czy nosicieli tylko w formie przekazu ustnego. W tej książeczce znajdziecie piękną baśń, gorące afrykańskie wspomnienia, wzruszające rodzinne historie. Niech popłyną tym razem do czytelników.

Dziękujemy wszystkim osobom, które wzięły udział w warsztatach, za to, że chciały się w ten lub inny sposób podzielić swoimi historiami. To zawsze wzruszający moment, gdy ktoś wpuszcza nas w swoją opowieść.

Zespół Fundacji Verbascum
Katarzyna Hermann-Pawłowska
Renata Banasińska
Sylwia Dec

Sabina Kasoń
Papierośnica dziadka

Moja historia nie jest taka wielka. Jest mała, ale o przedmiocie bardzo mi drogim – o papierośnicy mojego dziadka.

Mieszkałam w domu kobiet. W moim domu nie było mężczyzn. Mężczyźni byli w zasadzie trochę tabu.

Mój dziadek zostawił babcię po wojnie. Nie był najbardziej szlachetnym mężczyzną, dlatego też się o nim bardzo mało mówiło. Póki babcia żyła, nie chcieliśmy robić jej przykrości. A potem, jak już nie żyła, to się nie mówiło, bo niewiele o nim było wiadomo.

Dziadek zmarł długo przed moim urodzeniem, więc nawet nie miałam szansy go poznać. Natomiast póki babcia żyła, póki moja mama żyła, to mówiło się, że dziadek był w partyzantce. Mieszkali w Bielsku-Białej z babcią, czy może nawet w Białej bardziej niż w Bielsku. I jak nadeszła wojna, to musieli z Bielska uciekać, bo dziadek był na liście do rozstrzelania od razu. Więc oni uciekali, uciekali na wschód. I tak uciekali na wschód, że osiedlili się w Tarnowie, gdzie urodziła się w czasie wojny moja mama. Wiedziałam więc tylko tyle, że dziadek w tej partyzantce, gdzieś tam w okolicach Tarnowa, walczył. I w zasadzie długo żyłam z taką wiedzą tylko.

Ale w którymś momencie, kiedy zaczęłam szukać informacji o mojej rodzinie, strasznie mnie ta partyzantka zainteresowała. Czym była? Co dziadek w niej robił w czasie wojny? Szukałam, szukałam. Wiedzie, był internet, przeszukiwałam. I nic nie było o żadnej partyzantce w okolicach Tarnowa. Ale miałam takiego profesora ze studiów, który na ekonomii uczył mnie historii. Myślę sobie, a zagadnę go. Może on mi coś podpowie. Gdzie ja mam tego dziadka szukać? Co ten mój dziadek robił? Babcia zawsze mówiła, że dziadek bardzo był odważny, więc wiedziałam, że coś tam było ważnego. Coś się działo, ale nie bardzo wiedziałam co. Chciałam do tego dotrzeć. Znalazłam informację, że na tych obszarach działała Armia Krajowa. I zaczęło mi coś tak powoli dzwonić. Ja się urodziłam w latach siedemdziesiątych. Wtedy jeszcze się nie mówiło o AK. Bano się o tym mówić za bardzo. Więc ja zapytałam profesora, czy jest taka możliwość, że po prostu u nas się mówiło partyzantka,

ale czy to nie chodziło o Armię Krajową? On mówi, że jest taka możliwość i żebym napisała do Związku Kombatantów.

Napisałam do tego Związku. I oddzwoniła do mnie przemiła pani. Mówiła, że znalazła dokumenty mojego dziadka, że jak zapłacę opłatę administracyjną, to ona zrobi kopię i wyśle. I dostałam te dokumenty. Okazało się, że dziadek walczył w Armii Krajowej w 1943 roku, właśnie w okolicach Tarnowa. I to była cała jego historia, jak on się zapisywał jeszcze do Zbowidu. Bo on się musiał ujawnić – znaczy musiał, nie musiał, ale się ujawnił – i w tym Zbowidzie cała historia jest spisana. Wiem, jaki miał pseudonim, wiem, z kim walczył. Wiem, że został odznaczony Krzyżem Walecznych po raz pierwszy. Szukam teraz rozkazu. Nie wiem, czy go znajdę. W każdym razie to jest kolejna rzecz, której szukam.

I stąd właśnie ta papierośnica, która jest w sumie jedyną pamiątką po dziadku. Myślę, że raczej miał ją później, po partyzantce, bo oni potem wrócili po wojnie do Bielska. Przez jakiś czas mieszkali razem z babcią. To jest jedyna rzecz, która się po nim zachowała. Bo jak uciekali, to wiem, że musieli wszystko zostawić. Potem jak wrócili, nie wiem tak naprawdę, jak długo dziadek był z babcią po wojnie. Jakieś kilka lat na pewno. Natomiast nic się więcej nie ostało. Są jakieś zdjęcia, ale to jest jedyny przedmiot, który gdzieś mnie tam z nim wiąże.

Dziadek umarł na białaczkę w 1969 roku. Wcześniej zostawił babcię, potem miał jeszcze kilka lat niezbyt szlachetnego życia. W międzyczasie pojawiła się przyrodnia siostra mojej mamy. Łobuzowała, ale mimo wszystko to był mój dziadek.

Agata Runowicz Kawalerka

Jestem kawalerką. Mam dwadzieścia metrów kwadratowych powierzchni, dwa okna, oba wychodzące na północ, łazienkę z wanną i piecykiem gazowym oraz korytarzyk z wnęką na kuchenkę gazową, też z piecykiem. Na Muranowie, na wprost Nowolipek, po przekątnej od sądów. Znacie to miejsce? Róg Świerczewskiego i Marchlewskiego. Bardzo łatwy dojazd, do późnej nocy tramwaje kursują i dają o sobie znać głośnym zgrzytem. Blisko Hala Mirowska, park Krasińskich, kino Femina. Mój dom jest narożny, ma wzmocnione mury lat powojennych i zimnowojennych. Od Marchlewskiego, dziś Jana Pawła, wchodzi się przez dudniący tunel, a od Świerczewskiego, dziś alei Solidarności, otwarte jest przejście przy kościele Ojców Pallotynów.

Moją pierwszą lokatorką była pielęgniarka Stenia. Bardzo mnie ceniła, bo dla samotnej matki pogrobowcowej Kazi byłam skarbem. Kazia poszła w ślady matki i uczyła się w liceum pielęgniarskim. Potem razem pracowały w szpitalu dziecięcym na Kopernika na zmiany, cieszyły się i pielęgnowały mnie starannie. Lubiły urządzać u mnie przyjęcia, teraz imprezy, a nawet potańcówki, czyli domówki. Mój stół wynoszony był wtedy na korytarz, bardzo obszerny, co było stratą powierzchni, prawdę mówiąc, a na moim parkiecie przy płytach odtwarzanych na Bambino były tańce. Tapczan, rozkładany fotel do spania, serwantka z porcelaną i szkłem oraz trzydrzwiowa szafa dopełniały wyposażenia mojego wnętrza.

Najlepszym smakołykiem przygotowywanym przez Stenię i Kazię były babeczki z budyniem. Zawsze były ich stosy. Słoną przekąskę stanowiła królowa polskich stołów – sałatka warzywna wzbogacana śledzikiem. Co do dekoracji, to nad tapczanem zamontowany był kilimek ze szkaplerzem, a na środku pomiędzy oknami miałam portret Jezusa z krwawiącym sercem, który zasłaniał rury centralnego ogrzewania.

Stenia była wierząca, ale nie bigoteryjna. Mężatką była jedynie parę miesięcy. Po ślubie latem 1939 jej męża powołano do wojska i zginął jeszcze w kampanii wrześniowej, zostawiając ciężarną Stenię na łasce rodziny. Kiedy Kazia wyszła za mąż, oj, było wesele. Stenia pracowała na noc i jakoś we trójkę się u mnie pomieścili. Dostałam też elegancką obudowaną lodóweczkę, na której pojawił

się telewizor. Szczególnie dobranocki były popularne wśród wnucząt i bratanków Steni: „Jacek i Agatka” i „Gąska Balbinka”. Wnuczka Natalka uwielbiała też przebierać w niciaku, okazałym rozkładanym pudle z przyborami krawieckimi. U Natalki podobno telewizor pojawił się dopiero w 1968 roku.

Więc byłam bardzo nowoczesna, wyposażona i zadbana. Nawet pranie było ogarnięte. Na strychu, czyli nade mną, bo jestem na piątym piętrze, była pralnia. Paliło się w piecu węglem, każdy lokator miał przydział i trzymał skrzynię w piwnicy i w wielkim saganie można było wygotować pościel, obrusy, ścierki czy pieluchy. W latach sześćdziesiątych zmieniono palnik na gazowy, co było dużym ułatwieniem, a w mojej piwnicy zostało trochę węgla trzymanego w skrzynce po ekwipunku amerykańskiego żołnierza. Ta skrzynka jest świetna, obita blachą, z okuciami i uchwytami. Świetnie nadaje się na skrzynię kwiatową na balkonie u Natalki. Inne skarby to były książki, na które mąż Kazi zrobił szafkę wbudowaną nad kuchenką wewnętrzną. Z czasem, w sześćdziesiątym szóstym czy siódmym roku, Kazia z mężem wyprowadzili się i Stenia mogła nareszcie rozkoszować się przestrzenią, jaką jej oferowałam.

Nie musiała już pracować na nocki i mogła wysypiać się do woli, ale kiedy pojawiły się wnuki, śliczni chłopcy Kazi i Romka, po prostu nie mogła usiedzieć i zaniedbywała mnie tak, że nawet bambusy, które wybaczą suszę, zmarniały. Wiele osób z bliskiej i dalszej rodziny miało chrapkę na mnie, bo mieszkań w Warszawie wciąż brakowało. Stenia zameldowała najstarszego wnuka u mnie, jak tego wymagało prawo mieszkaniowe, żebym została w rodzinie.

Po śmierci Steni Kazia udostępniła mnie Natalce, która pracowała w szpitalu na Banacha i musiała z daleka dojeżdżać do pracy. Natalka miała burzliwe i zagmatwane sprawy sercowe z lekarzem – kandydatem na psychiatrę. I widziałam jej rozterki, próby wyzwolenia i znów poddawania się trudnym emocjom. Natalka pozbyła się zarobaczonych worków z kaszą, ususzonych bułek wetkniętych za żeberka kaloryfera, ciuchów z szafy i obrazów religijnych. Poprzyczepiała plakaty w łazience, kafelki z plastiku, ozdobiła wnękę kuchennymi drewnianymi utensyliami. Znów byłam nowoczesna, teraz w stylu boho. Brak słońca kompensowały złote zasłony w oknach.

Miś, spadkobierca, skończył szkołę i poszedł do wojska, co pozwoliło Natalce,

już z mężem, rozgościć się u mnie. Największą radość sprawdziło do mnie narodzenie się Genusi, ich córeczki. Wprawdzie było u mnie zimno, bo drewniane ramy okienne się rozeschły i wiało niemiłosiernie, ale wiklinowy kosz i stojak na pieluszki, zapach zupek i jemioła pod sufitem to było prawdziwe powitanie nowego życia u mnie, ze mną i dla mnie.

Przyjechały babcia i mama Natalki z goździkami, a także mama taty Geni, która złożyła wizytę i powstrzymywała się od palenia. Obok szafy pojawił się regał, taki do piwnicy, zbity przez tatę Geni w Nowy Rok, bo kiedy? Życie Natalki ciągle było burzliwe z wyprowadzkami i powrotami zdradzającego ją męża. W chwilach czułości jednak kupował jej bagietki z paprykarzem szczecińskim oraz rurki z kremem od doktora Oetkera. Oba przysmaki były dostępne na dole kamienicy – i były wtedy nowością, dzięki której karmiąca piersią Natalka była dobrze odżywiona.

Nareszcie Natalka i Genia wyprowadziły się do babci, a Miś po powrocie z wojska objął mnie we władanie. Nie doceniał nowej baterii nad wanną, złożonej z kilkunastu nakładek i łączników, gdyż kran do ciepłej wody i zimnej nie zgadzał się co do przekroju ani wysokości. No więc Miś radykalnie zmienił łazienkę, postawił prysznic, położył piękne kafelki, zrobiło się przestronnie, bo nie było już pralki. A tę pralkę to Natalka z mężem kupiła od kogoś z ogłoszenia, bo w sklepach ich nie było, za podwójną cenę. Po przycięciu deski klozetowej mieściła się świetnie między kibelk i wannę, podłączono ją do spłuczki wiszącej wysoko. Montowanie zajęło dwóm panom, niezupełnie trzeźwym fachowcom, pół nocy, bo to było bardzo skomplikowane.

Natalka nie mieściła się już z wielkim brzuchem i długimi włosami pod te krany i trzeba było je wymienić. Była mi szkoda z tą pralką się rozstawać, ale zyskałam bardzo dużo miejsca i Miś zrobił u mnie łazienkę cudzińko.

Miś niedługo był kawalerem i wkrótce dołączyła do niego Basia. W pięknym, nowoczesnym miejscu żyło im się bardzo dobrze, aczkolwiek kiedy pojawił się ich pierwszy synek, znowu zaczęło być u mnie ciasno. I znowu musiałam patrzeć, jak wielkie pudła są stawiane jedno na drugie, jak trzeba wywozić gdzieś i później przywozić zimowe ubrania.

Jednym słowem, dano mi do zrozumienia, że nie nadaje się dla młodej rodziny. Miś się wyprowadził, a wtedy ja uzyskałam nowy status: bardzo pożądanego

pierwszego mieszkania w Warszawie dla młodych ludzi, którzy przyjeżdżali tutaj, szukając pracy, kariery i szczęścia. I ten status obowiązuje mnie do dzisiaj.

Na dole pojawiły się przepiękne malowidła przedstawiające dawne Leszno i piękne ptaki, zupełnie jak z baśni, na których budowniczowie i architekci tej dzielnicy przyfrunęli z powrotem. Jestem bardzo dumna z tych murali i zawsze tam prowadzę moich gości i rodzinę, żeby popatrzyli, jak jestem upiększona.

Sabina Kasoń

Baśń o Sabinece

Dawno, dawno temu, za siedmioma górami, za siedmioma lasami, w małym domku pod górami mieszkała sobie mała dziewczynka z kucykami. Dziewczynka miała na imię Sabinka. Mieszkała w domku ze swoją mamusią i babunią. Wszystkie trzy bardzo się kochały.

I to by było na tyle bajki.

Bo mały domek pod górami to tak naprawdę był peerelowski blok z wielkiej płyty. A w tym bloku miały mieszkanie z dwoma pokojami. A jeden z tych pokoi był pokojem Sabinki. Nie, tak naprawdę to nie był zwykły pokój. Ten pokój był często całym jej światem. A czasem wieloma światami. Bo czasem był Zielonym Wzgórzem, a czasem wioską Smerfów. Czasem Paryżem z czasów D'Artagnana, a innym znów razem – zaczarowanym lasem. Niekiedy zaś po prostu bazą. A kiedy Sabinka była nieco starsza, zamieniał się w rozległą Tarę, w której niepodzielnie królowała przepiękna zielonooka Scarlett O'Hara.

Sabinka urządzała domki dla lalek na półkach, misiowy szpital na szafie, a pod nią rozległy parking dla samochodów. W biblioteczkę – prowadziła bibliotekę – każda książka miała swój numer i była opatrzona pieczętą Sabinki. Książki wypożyczali zazwyczaj jej książkowi przyjaciele – dzieci z Bullerbyn, Ania Shirley, Pan Samochodzik i przystojny Ashley Wilkes.

I oczywiście był bank! Prawdziwy bank z nieprawdziwymi pieniędzmi. Bo Sabinka zawsze bardzo lubiła liczyć. Mama Sabinki nazywała ją czasem liczykrupą lub liczyrzepą. Był nawet taki czas po denominacji złotówki, kiedy Sabinka zbierała wycofywane z obiegu czerwone stużłotówki z Romualdem Trauguttem i nazbierała ich całą małą zabawkową walizeczkę. Były pięknie popakowane w paczuszki i opatrzone własnoręcznie przygotowaną banderolką z kawałka papieru.

Ale największe skarby Sabinki kryły się w biurko-barku. Wiecie, w takim barku, który miał otwierany blat. Tam Sabinka miała swoje biurko. Tam odrabiała zadania domowe do szkoły. Ale tam też prowadziła swoje biuro. Czasem to było biuro detektywistyczne. Każdy sąsiad lub inny podejrzany typ

miał swoją kartotekę, w której notowała, gdzie i kiedy był widziany i jakie okoliczności spowodowały wciągnięcie go na listę podejrzanych. Zapytacie – o co był podejrzany? Może o to, że ukradł tańczącego słonia albo kapelusz za sto tysięcy? A może o to, że nie wybaczył Brunhildzie lub współpracował z Rumburakiem?

Innym razem prowadziła prawdziwe biuro, w którym każdy pracownik (postacie z różnych książek i filmów) miał swoją teczkę kadrową, wypisywał wnioski o urlop lub dostawał skierowanie na badania. Czasem przyjmowała coś do magazynu, a czasem wystawiała rachunek. Sabinka od małego lubiła wypełniać różne papiery, a mama przynosiła jej druczki do zabawy ze swojego biura lub ze sklepu papierniczego. W pokoju Sabinka urządzała też skrytki na tajne wiadomości. Czasem za obrazem, a czasem w łóżku. Czasem za książkami lub pod drugim dnem walizeczki.

Im Sabinka stawała się starsza, tym bardziej pokój się zmieniał. Lalki i misie zastąpiły plakaty znanych piosenkarzy i zdjęcia chłopaków. W pokoju pojawiły się lustro, toaletka i kosmetyki.

Ale na zawsze zostały biurko-barek i biblioteczka, w której jedynym znakiem czasu była zmiana gatunków – z bajek na książki science-fiction i detektywistyczno-sensacyjne.

Nastał czas, kiedy Sabinka miała zdecydować o tym, kim zostanie jako dorosła osoba. Poradziła się swojej mamy, która była dla niej wielkim autorytetem. I mama odpowiedziała wtedy tak:

– Babunia zawsze bardzo chciała, żebyś zajmowała się handlem zagranicznym.

A ponieważ Sabinka bardzo kochała swoją nieżyjącą od kilku lat babunię i bardzo chciała spełnić jej marzenie, znalazła takie studia i takie studia wybrała. I tak – zrobiła krok wstecz.

W międzyczasie tak zmieniły się warunki, że handel zagraniczny przestał mieć znaczenie. Ale znaczenie zaczęła mieć współpraca z międzynarodowymi organizacjami, a studia, które wybrała Sabinka, pozwalały i na to. I tak po ukończeniu studiów Sabinka rozpoczęła podróż poprzez swoje doświadczenie.

Pierwszy był Archipelag Ministerstw. Tam, na różnych wyspach nauczyła się zarządzania projektami, ich pisania. A kiedy trochę popracowała, zaproponowano jej zarządzanie zespołem finansowym. I tak Sabinka wykonała pierwszy krok do przodu. Uczyła się przygotowywać umowy, rozliczać rachunki, zarządzać budżetami. Ale później poczuła, że są inne, ważniejsze sprawy, i powędrowała na inną z wysp Archipelagu Ministerstw. Jednak to okazało się tylko stratą czasu.

Kolega, którego poznała na jednej z wysp Archipelagu, zaproponował jej wspólną podróż daleko, na inną wyspę – Wyspę Idea. Tam Sabinka dowiedziała się, jak działają fundacje, ale pracowała też coraz więcej z rachunkowością, sprawdzała poprawność ksiąg rachunkowych, zawarte umowy, rachunki i płatności. Często też współpracowała z Wyspą Alastir. I tak Sabinka wykonała drugi krok.

Ale kiedy przebywała na Wyspie Idea, na jej drodze stanęła Czarna Dama. I porwała ją. Odebrała Sabinie chęci do pracy, podróży, zabawy czy czegokolwiek innego. Czarna Dama uwięziła Sabinę na długi czas. Mijały dni. Mijały tygodnie. A potem miesiące. A Sabinka nie potrafiła uciec z pułapki, w której uwięziła ją Czarna Dama.

W więzieniu, w którym przebywała Sabinka, byli też inni więźniowie. Był Romantyk, Śpioszek i Malarz, była Samobójczyni, Młoda Dziewczyna i Podróżniczka. Sabinka czasami miała możliwość trochę z nimi porozmawiać, ale nikt z nich nie miał pomysłu, jak uwolnić siebie i resztę towarzystwa.

Aż tu kiedyś jeden ze strażników powiedział, że nie jest prawdziwym strażnikiem, tylko poszukiwaczem przygód, który dowiedział się o więźniach Czarnej Damy i postanowił ich uwolnić. Razem z czwórką towarzyszy podstępem zatrudnili się u Czarnej Damy jako strażnicy. Ale powiedział też, że muszą opracować plan ucieczki i że ucieczka może nie okazać się wcale łatwa. I tak zaczęli planować ucieczkę. W czasie tego planowania Sabinka postanowiła, że nie wróci na wyspę Idea, ponieważ to tam spotkała Czarłą Damę, która ją zniewoliła. Myślała sobie o tym, gdzie teraz powędruje, gdzie będzie mieszkać. I nie wiedziała.

Tymczasem nadszedł długo oczekiwany dzień ucieczki. Niestety nie wszystkim udało się uciec.

Ale Sabinka bardzo chciała powrócić do swojego dawnego życia, więc robiła wszystko, żeby jej ucieczka zakończyła się sukcesem.

W międzyczasie okazało się, że drużyna ratunkowa może podwieźć Sabinkę na nieodległą Wyspę Alastir, z którą Sabinka już kiedyś współpracowała. I tak Sabinka wykonała trzeci, najdłuższy i najtrudniejszy krok. Choć wydawało się, że to krok wstecz, to był to krok, który najbardziej przybliżył ją do jej przeznaczenia. Bo Wyspa Alastir była wyspą księgowych i kadrowych. Sabinka co prawda nie zajmowała się na tej wyspie żadną z tych rzeczy, tylko pomagała księgowym i kadrowym, ale bardzo podpatrywała ich działania, uczyła się od nich, dopytywała.

I któregoś dnia jedna z księgowych i jedna z kadrowych z Wyspy Alastir zaproponowały Sabinie, aby wraz z nimi popłynęła na maleńką, egzotyczną i słoneczną Wyspę Rachunkowość NGO. I żeby została kadrową, a kiedyś w przyszłości – księgową. Choć Sabinka bała się, czy to będzie krok w dobrym kierunku, to zrobiła go. I tak Sabinka wykonała ostatni krok do zostania kadrową i księgową. Uczyła się pilnie, poznawała tajniki obu zawodów.

I w ten sposób wypełniła swoje przeznaczenie i odnalazła drogę do robienia w życiu tego, co przynosiło jej przyjemność.

Agata Runowicz
Tylko siedemset

Jak do tego doszło, to długa historia, wystarczy, że zamieszkaliśmy w RPA w Kimberley, miasteczku słynącym z Wielkiej Dziury, czyli wyrobiska kopalni diamentów wydłubanego ręcznie i mozolnie przez parę pokoleń poszukiwaczy przygód, złota i tychże diamentów.

Mieszkaliśmy w domu na terenie szpitala psychiatrycznego i gruźliczego East End, służącego ludności olbrzymiej prowincji Cape, czyli Kapsztadu, do którego prowadziło banalne dziewięćset kilometrów. Mój mąż, Lech, był psychiatrą i mieliśmy już doświadczenie z Polski, jak się mieszka w tak zwanym psychiatryku. W stanie wojennym mieszkaliśmy w Tworkach – najpierw w poradni, a potem nad izbą przyjęć tego ogromnego, położonego w pięknym parku podwarszawskiego szpitala. Tam też prowadziłam zajęcia z pacjentami, którzy przebywali w większości już długie lata w Tworkach i określani byli jako chronicy, chorujący na schizofrenię i będący w słabym kontakcie ze światem zewnętrznym. Obcowanie z nimi w formie spacerów, prac plastycznych i pogawędek skłoniło mnie do zajęcia się logopedią. Na studia podyplomowe UW przyjęto mnie nie bez problemów, gdyż przysługiwały osobom pracującym, a ja uprawiałam wolontariat, ale Otto Axer, wtedy dziekan Wydziału Polonistyki i Filologii Klasycznej UW, zgodził się zaryzykować i wydał potrzebne pozwolenie, prosząc mnie, abym nie przyniosła wstydu wydziałowi.

I tak pacjenci w Tworkach pomału się rozgadywali, a ja studiowałam logopedię. Opisałam to doświadczenie w artykule „Cud w Tworkach”, który, choć zakwalifikowany do druku, nie ukazał się z powodu zamknięcia periodyku. Nie wspomniałam, że były to czasy stanu wojennego? Były.

Zaraz po przyjeździe na miejsce, do Kimberley, w czerwcu 1991, mój kolega Zygmunt oświadczył, że wyjeżdża na sześciotygodniowy zasłużony urlop do Polski. Zygmunta znałam z Niezależnego Związku Studentów, który był opozycją ZMP, czyli reżimowego Związku Studentów Polskich. W RPA pracował jako psychiatra, i to główny, jeśli nie jedyny nawet na tym terenie. W Polsce nie był od czasów istnienia obozu dla uchodźców w Wiedniu, czyli 1981 roku – a skoro przyszedł rok 1991, inne czasy, paszporty w rękę, a nie na milicji, to należało korzystać z wolności.

Z Zyziem łączyło nas także Reytaniactwo. Chociaż był dużo starszy ode mnie i chodził do Reytana, kiedy było to jeszcze gimnazjum męskie, to jak się okazało, kilku nauczycieli mieliśmy wspólnych. Co ważniejsze, dzieliliśmy Reytaniacki etos, chęć zdobywania wiedzy i poczucie sprawiedliwości społecznej opisane później w „Harcerskiej drodze do niepodległości”. Znalazł się w tym zbiorze również jeden rozdział mojego autorstwa.

Wracając do Kimberly i East Endu: Lech szybko poznał i wytłumaczył mi obowiązujące lokalnie zasady pracy. Apartheid, jako panujący reżim, się skończył, ale administracyjnie trudno było natychmiast zintegrować służbę zdrowia, tak samo jak edukację, transport, zaopatrzenie i inne dziedziny życia. Każda rasa, jakkolwiek określona przez administrację państwową, miała wydzielone strefy zamieszkania, a w niej służby, jednak lekarz obsługiwał je wszystkie. Oznaczało to pracę z zespołem pielęgniarskim danej grupy rasowej, choć nie etnicznej, i zmianę personelu medycznego przy opuszczaniu terenu w drodze do następnej przychodni. Wyglądało to w praktyce tak, że doktor, czasem pielęgniarka, prowadził auto przez setki kilometrów do na przykład Kuruman (znanego z Moffat Mission i duktu wodnego zbudowanego przez żonę misjonarza, panią Moffat), gdzie koledzy wskakiwali i wyskakiwali z samochodu w zależności, jaką przychodnię mieli przydzieloną w zgodzie z ich własnym pochodzeniem. Lekarstwa, zastrzyki i inne elementy opieki nad chorymi były również podzielone na cztery kategorie: białą, czarną, kolorową i hinduską. Różniły się zakresem wyboru lekarstw i sumą pieniędzy wypłacanych pacjentowi jako zasiłek, jeśli był on niezdolny do pracy. Hierarchia tych świadczeń była smutnie oczywista.

Zespół, do którego dołączył Lech, był niesłuchanie zżyty, współpracujący i zmotywowany, a rozkład wizyt, ułożony na kilka miesięcy naprzód, zawsze był wypełniany. Zyzio pracował tam jako lekarz bardzo długo, znał dominujący język afrikaans i cały system, a Lech dopiero miał się w tym odnaleźć. Potrzebował tłumacza i języka, i reguł, nie mówiąc o poznaniu kultury i obyczajów.

Często trzeba było nocować w przydrożnych gospodach i tu podział rasowy dawał się we znaki, więc zazwyczaj mieszkano na kempingach, które były swobodnie zintegrowane, a jeszcze przy tym pozwalały zaoszczędzić państwowe fundusze.

Niektóre przychodnie znajdowały się po prostu pod drzewami, gdzie właściciel farmy zostawiał swoich pracowników odwiedzającemu lekarzowi. Niektóre budynki nie miały jeszcze prądu, a tym samym i lodówek do przechowywania lekarstw i szczepionek. Czasem więc zapas zostawał w podręcznych styropianowych pudłach z lodem i puszczano wici, żeby przyprowadzić dzieci na szczepienia jak najszybciej.

Dodać trzeba, że jazda po lewej stronie drogi wymagała uwagi, przystosowania i wyobraźni. A zmęczenie całym dniem pracy w upale i niewygodzie robiło swoje, więc nie od razu Lech zasiadł za kierownicą. Ja odebrałam parogodzinne przeszkolenie od Zyzia, kiedy po półrocznym pobycie w Kimberley stać nas było na toyotkę.

Raymond, rejonowy farmaceuta, bardzo cieszył się z obecności służb medycznych i chętnie dowoził lekarstwa i szczepionki, zatrzymując się niekiedy dla sfotografowania półpustynnych krajobrazów, zwierząt i roślin, był bowiem fotografikiem pasjonatem. Miał w swoim domu ciemnię, sam wywoływał i opracowywał zdjęcia, zawsze czarno-białe lub w kolorze sepii. Niekiedy robił z nich powiększenia i sprzedawał je oprawione w passe partout. Z czasem mieliśmy już niemałą ich kolekcję. Niedawno, już w Warszawie, znalazłam je i ułożyłam z nich kolaż.

W drodze dowiadaliśmy się też wielu ciekawych rzeczy. Ray pokazał nam bazaltowe skały z rytami, leżące jakieś dwadzieścia kilometrów od Kimberley, nad rzeką Vaal. Stworzyli je Buszmeni, czyli członkowie plemion San, którzy mieszkali w okolicach Kimberley, zanim powstało to miasto. Farma, obok której znajdowały się te rytzy, nazywała się Nooitgedacht, czyli 'nie do pomyślenia' z języka staroholenderskiego. Obecnie teren jest zabezpieczony i opisany, ale wtedy traktowano to jako zaledwie ciekawostkę.

Dowiedzieliśmy się z czasem, że w okolicach Karoo, czyli w Suchym Miejsu (w języku San), w czasach neolitu była wytwórnia narzędzi. Znajdowano tam w sporych ilościach na wpół obrobione ostrza, kamienie do łupania i cięcia – może upolowanej zwierzyny, może skór. Pewien badacz, jak się przekonaliśmy na którejś z wycieczek z McGregor Museum, rozbił tam namiot, spał latami na polowym łóżku i dokumentował, co tylko znalazł w tej krainie.

A Ray zginął później w wypadku samochodowym w drodze do Uppington podczas samotnej podróży w potwornym upale. Jadąca do pracy pielęgniarka znalazła na trasie rozwalony samochód i nieżyjącego już Raya. Szczerze opłakiwaliśmy przyjaciela. Wtedy już mieszkaliśmy w Johannesburgu, więc trzeba było jechać prawie tysiąc kilometrów na jego pogrzeb.

Ten pierwszy psychiatryczny długi objazd w półpustynnym rejonie wiódł przez Uppington, Kuruman, De Aar. Przed przybyciem białych osadników były to tereny zamieszkałe przez ludność Khoi i San, nomadów okrutnie wyniszczonych później przez napływających zewsząd i walczących między sobą kolonizatorów. Od razu zainteresowaliśmy się rytami i rysunkami naskalnymi pozostawionymi przez dawnych mieszkańców i zawsze korzystaliśmy z okazji, jeśli można było dowiedzieć się o nich czegoś więcej.

Zobaczyliśmy kilka rytów na farmach, zwykle były to kręgi lub spirale, geometryczne figury, czasem tworzące konstelacje. Jedną z tych farm odwiedziliśmy w gronie nowych przyjaciół, którzy zaprosili nas na weekend poza miastem. Piękne malunki widzieliśmy również na terenie dawnego majątku Graaf Reinet w Nieu Bethesda, maleńkiej miejscowości w Karoo, które zostały odkryte przypadkiem po dwustu latach osadnictwa w pobliżu farmerskiego domku. Oglądanie takich malunków z bliska zawsze budziło we mnie poczucie wtajemniczenia i wrażenie mistycznej komunikacji z artystami sprzed wieków.

Malunki naścienne w jaskiniach rozsiane są po całej RPA, w górach Drakensbergu, czyli Smoczach, wzdłuż Oceanu Indyjskiego, w Plettenburg Bay. W 2018 roku przebyłam tam Czerwony Szlak, który prowadzi przez zamieszkałe przez ludność San jaskinie. Była to grupa żyjąca na wybrzeżu i żywiąca się owocami morza, czyli ludność odmienna od tej z półpustyni Karoo. Dzięki usunięciu się morza, a zarazem wypiętrzeniu skał jaskinie i pierwotne schronienia stały się dostępne i widoczne. Badacze ucieszyli się niezmiernie ze znalezisk – spopielonych resztek pokarmów i podobnych świadectw. Prace trwają, a języki San i Khoi zostały przywrócone i uznane za skarb narodowy. Jednak wiele malunków zostało zniszczonych w czasach wojen Burskich (Anglo-Boer War), kiedy sylwetki ludzi brane były za cel strzelniczy. Celowe niszczenie i bezczeszczenie przedchrześcijańskich znalezisk należało do rasistowskich rozrywek.

W 1991 roku kilkutysięczna grupa San mieszkała w obozie wojskowym w Schmidtsdrif, sześćdziesiąt kilometrów od Kimberley, utworzonym na ziemi odkupionej od farmera przez państwo. Poznaliśmy go przypadkiem. Był radiologiem w szpitalu East End, zaprosił nas do swojej przeniesionej posiadłości zamieszkałej przez robotników rolnych, kozy i owce. Wkrótce Brian Parker był zmuszony do sprzedania resztek rodzinnej farmy, bo nie dawało się pogodzić tej pracy z pracą w szpitalu. Prosił superintendenta (dyrektora placówki) o pozwolenie na prowadzenie farmy raz w tygodniu, zamiast tego wyrzekął się jakiegokolwiek urlopu, ale nie dostał zgody.

Wtedy, na terenie rodzinnej posiadłości Parkera, zamieszkali San, a on leczył ich z gruźlicy. Były to rodziny zwiadowców, którzy służyli w wojsku RPA w zmaganiach w Namibii, znanej jako South West Africa, która stanowiła kolonię RPA do lat osiemdziesiątych. Buszmeni ci nie mogli wrócić do Namibii, bo uważani byli za zdrajców, a RPA nie miała dalszych planów zatrudnienia czy osiedlania tych żołnierzy. Żyli więc na kempingu, polowali na antylopy albo owce tamtejszych farmerów, rozpijali się i czasem tworzyli tradycyjne narzędzia, pamiątki czy broń, na przykład łuki, grzechotki lub ozdobione wypalaniem wzorem strusie jaja. Oczywiście kupowaliśmy te przedmioty i mieliśmy sporą wystawę zaaranżowaną z czasem w naszym domu, już po przeprowadzce do Johannesburga w 1992 roku.

A praca na pierwszym objeździe psychiatrycznym Lecha szła wolniej, niż powinna. Mogłam się tego domyślać, jednak późnym wieczorem zadzwoniłam do dyrektora szpitala. Na marginesie, lekarze to byli *public service officers*, co daje pojęcie o militarystycznym charakterze służb państwowych. Dzwoniłam co godzinę, aż superintendent też zaczął się niepokoić. Późną nocą nadjechał służbowy samochód z załogą psychiatrii środowiskowej. Czasy były przedkomórkowe, w tamtych okolicach przekątników nie było jeszcze długo. Wrócili zakurzeni, bo auto z klimatyzacją przysługiwało na wizyty u białej ludności, więc przy czterdziestu stopniach skwaru okna musiały być otwarte, zmordowani i z poczuciem winy, że nie zdążyli wszędzie i trzeba poprawić grafik trasy... ale zintegrowani i pełni wzajemnego uznania. Przypuszczam, że każdy, jak Lech, zapadł w ciężki sen natychmiast, gdy tylko poczuł poduszkę pod głową.

Lech obudził się nagle i powiedział, że śniła mu się przychodnia i pielęgniarka, która go uspokajała: „Dzisiaj łatwy dzień, doktorze, czeka tylko siedmiuset pacjentów...”.

Ryszard Olejniczak

Cudowny obraz

Nazywam się Ryszard Olejniczak i jestem z Kabat. A gdybym się cofnął do roku trzydziestego dziewiątego, do września, to i z Ochoty. I z tą właśnie datą wiąże się mój przedmiot. To portret. Jest w nim kilka elementów i cała historia jest bardzo niewiarygodna. Te elementy, które można zobaczyć gołym okiem, to taki maleńki odłamek metalu z barykady września trzydziestego dziewiątego roku na ulicy Grójeckiej. Historia tego kawałka metalu jest bardzo dziwna. Otóż sam obraz zawsze wisiał w pokoju mojej mamy. To jej paniński portret, może być gdzieś z 1934 roku.

Trafił do mnie, jak mama zmarła. Wtedy zacząłem go tak troszeczkę odnawiać. I znalazłem kawałek metalu. Skąd się tu wziął?

Otóż myśmy mieszkali wtedy na Grójeckiej. Dzisiaj tam jest Ośrodek Kultury Ochoty OKO i to jedyny budynek chyba w całym ciągu ulicy, który został nienaruszony. Przed wojną była tam firma produkująca perfumy i pudry. Mama była jej pracownikiem i w związku z tym miała mieszkanie służbowe na obszarze podwórka.

Jak przyszedł 1939 rok, mniej więcej gdy Niemcy pojawili się w okolicy – powiedzmy, nie wcześniej niż siódmego, ósmego września – to największe walki w Warszawie toczyły się na Grójeckiej. Właśnie tam jest ta barykada września, tam się to zaczęło i trwało najdłużej. Bo ten odcinek Grójeckiej między Opaczewską, Szczęśliwicką i placem Narutowicza to trwał prawie cały wrzesień. Przechodził z rąk do rąk – albo cofali się Polacy, albo cofali się Niemcy. Myśmy mieszkali pod numerem 75, czyli bliżej barykady. A front raz się cofał, raz wracał, jeszcze w jedną, raz w drugą stronę, więc to wszystko gwizdało nad naszymi głowami, bo wtedy wojska do siebie strzelały.

My, mieszkańcy tego domu, schroniliśmy się w suterrenach. W zwykłym czasie była tam produkcja – te pudry, perfumy, półfabrykaty przychodziły z Paryża i tam komponowano je na różne sposoby. Ale w tym momencie, kiedy to się działo, to my nie mieszkaliśmy dokładnie w tym budynku, który dzisiaj jest, tylko w rogu tego placu. W części południowo-wschodniej znajdował się niewielki domek z kuchnią, z trzema pokojami, i to myśmy tam mieszkali. Ja miałem doskonale, dlatego że płot, który był równoległy do Grójeckiej – dzisiaj

go nie ma oczywiście – to miał furtkę i można było w każdym momencie wyjść na Pole Mokotowskie. Przestrzeń była nieprawdopodobna, pełna zieleni i krzewów. Gdy zaczęła się wojna, to ja miałem półtora roku, więc na czworakach zdążyłem przez tę furtkę wypełznąć i miałem nieskończoną perspektywę.

Ale na czas ataków, kiedy front przechodził raz w jedną, raz w drugą stronę, to wszyscy dostali miejsca w suterenach od podwórka. Parapet był tam nad poziomem ziemi, ale w środku znajdował się wysoko – sutereny mają swoją głębokość, wtedy był prawie ponad głowami. A pod tą ścianą, gdzie wychodziły okna na podwórko, były zsunięte łóżka i każda rodzina miała jedno, inaczej nie starczało. Na naszym łóżku leżał ten obraz, położony oczywiście szybką do koca. W suterenie była maleńka kuchenka, żeby cokolwiek można było przygotować, i mama podgrzała zupę dla mnie. Trzymała mnie na ręku, a w drugim miała talerz z zupą, i tak szła z kuchni do łóżka. A na rogu łóżka leżał portret i mama chciała tam ze mną usiąść, bo zawsze się siadała na rogu. Poprosiła więc kogoś, żeby odsunął obraz.

Ale zanim ktoś to zrobił, to uderzył szrapnel przez okno, wybił szybę, a odłamki uderzyły i w portret, i w talerz, który trzymała mama. Gdyby usiadła, toby mnie trafił ten kawałek, co trafił w portret. Gdyby mnie troszeczkę przesunęła, to trafiłby ten, co trafił talerz. I całe lata się opowiadało, że to jakaś przestroga była, a ten portret do dzisiejszego dnia mi towarzyszy.

Tak się zaczęła historia, można powiedzieć, wojenna tego portretu.

Chciałbym też opowiedzieć o mamie. To była bardzo odważna kobieta i uważam tak nie tylko dlatego, że to najważniejsza osoba dla mnie, ale dlatego, że mama była kobietą bohaterem, i to wcale niemałej klasy.

Mianowicie dwa tygodnie przed wybuchem powstania moja mama naciskała na ojca, żeby znaleźć jakieś miejsce poza Warszawą, bo front wschodni już było słychać.

Ojciec pracował na kolei i znalazł w Piastowie osiedle domków kolejowych na ulicy Szkolnej. Myśmy się tam przeprowadzili dwa tygodnie przed powstaniem, stąd jak wybuchło, mnie nie było w Warszawie, czego czasem żałuję, choć bardzo mało dzieci, bardzo mało moich rówieśników z podwórka je przeżyło.

Dlaczego? Bo to była warszawska gehenna. Jeśli chodzi o Ochotę, to akurat ją likwidowali Ukraińcy. I takie zgromadzenie mieszkańców dzielnicy było na Zieleniakach. To był wielki plac, gdzie handlowano zieleniną, i tam spędzano wszystkich mieszkańców Ochoty. Działy się tam dantejskie sceny, o których mniej się mówi, może nie tak potworne jak na Woli, ale zachowanie Ukraińców wobec kobiet było dramatyczne – chociażby jeśli któraś miała jeszcze biżuterię, to nie czekali, aż ściągnie w nerwach obrączkę, tylko po prostu odcinali palec.

Ale wracając do mamy – my w tym czasie mieszkaliśmy już właśnie w Piastowie. Kobiety, które były wyprowadzane albo wywożone z Warszawy, najpierw szły piechotą te dwadzieścia parę kilometrów, a potem przychodziły do Pruszkowa do obozu przejściowego Dulag Durschlag 121. Na nogach miały skórę zdartą, bo szły w przypadkowych butach – tak jak z domu je wypędzili, tak one szły, z dziećmi, z bagażami w rękę, bo można było ze sobą wziąć tyle, ile dało się wziąć w rękę. I duża część naszej rodziny warszawskiej wylądowała w tym obozie w Pruszkowie. Tam dzisiaj jest muzeum. Może nie takiej rangi, jak powinno być, no ale jest. I kobiety wpadły na pomysł, że już z pociągu wyrzucały klucze od swoich mieszkań. Wyrzucały klucze z karteczkami, że idziemy do obozu w Pruszkowie. Te klucze w tym Piastowie były zbierane i to działało jak niezła poczta. Momentalnie była segregacja, panie adresowały te karteczki, gdzie odnieść do znajomych albo do rodziny, kogo tam tylko znały w okolicy. A te bez adresu przekazywano do organizacji polskich, które je zbierały i pomagały.

Te karteczki były roznoszone do rodzin i pomagano tym warszawiakom, którzy się znaleźli w obozie Dulag. Kilkanaście osób z naszej rodziny tam wylądowało. Na Szkolnej, w szkole, były koszary, w których stacjonował Wehrmacht. Tak wypadło, że tam była dość duża grupa Ślązaków, a więc żołnierzy Wehrmachtu, ale ze Śląska, których część mówiła po polsku. I myśmy starali się – właśnie mama była najbardziej czynna w tym wszystkim – znaleźć możliwość wydobycia rodziny, która rzuciła karteczki. No i ktoś odpowiedział, że najlepiej z tymi Ślązakami się dogadać. Ojciec więc nawiązał z nimi kontakt. Oni krótko: to będzie to kosztowało tyle i tyle litrów spirytusu, bo wtedy to była waluta, i załatwiamy sprawę. Znaczący, oni musieli się dzielić pieniędzmi ze swoim dowódcą, który był Niemcem. Więc te pieniądze oczywiście były potrzebne. Oni musieli je mieć i to załatwili.

A jak to się odbywało? Otóż Ślężacy wozili bale. Byli w wojskach pomocniczych, bo osoby o innej narodowości niż niemiecka to zawsze były trzymane na takich gospodarczych funkcjach bardziej. Oni wozili bale do Pruszkowa i wjeżdżali do obozu, gdzie znajdowało się od 67 do 100 tysięcy Polaków. Jedni przyjeżdżali, drugich wywozili do obozu koncentracyjnego, a część po prostu likwidowali. I mama była chowana w Piastowie między te bale, które oni wieźli samochodem do tartaku w zakładach w Pruszkowie. Jak pod ten tartak podjechali, jak nie było nikogo, to dawali znać, że mama może wyjść. Mama wychodziła i szukała kogoś z rodziny, gdzie jest sto tysięcy ludzi. Zawsze opowiadała, że to był dla niej niesamowity obraz, bo na tych halach naprawy taboru warszawiaczy lokowali się kamienicami. Grójecka jeden, dwa, trzy i tak dalej. I dość stosunkowo łatwo można było, idąc, odnaleźć swoich. Nie zawsze się udawało, ale odnalazła dziewięć osób. A za każdym wjazdem w tych balach, za każdym wyjściem przy tym tartaku, za każdym wejściem, wyjazdem mogła być wpadka.

A wpadka to oczywiście był wyrok śmierci na miejscu. Dziewięć osób wywiozła stamtąd mama, ale nie zawsze mogła kogoś wywieźć. Nie wiem, czy mężczyzna by przeżył to, żeby tyle razy ryzykować życiem. Ale jak ryzyko robi się procederem, to trzeba mieć charakter. A ona miała przedwojenny charakter. Ja zawsze uważam, że widać z oczu, gdy nie brakuje charakteru.

Piękna kobieta.

A ten przedmiot – zaczarowany!

